



Stanisław Staszic
(1755 — 1826)

Ród ludzi (1820)

Epoka pierwsza

Jeszcze wody okrywały wszystko. Dopiero jedna spod nich dobyła się najwyższa ziemi góra. Po wierzchu ciągną się śliczne równiny, których zieloność zdobiąc się w różne kwiaty coraz inny, a coraz miłszy oczom czyni widok. Drzewa jedne wonnością swojego kwiatu napełniają powietrze, drugie już pod dojrzałym gną się owocem, tiujna ta ziemia, niezmienną wiosnę mając, wydaje i takie, na których jednej gałęzi przy dojrzałym już owocu nowy kwiat pęka. Poza skrajem tak pięknych równin palmy, topole, cisy i jodły, cyprysy, sosny i cedry gdyby na przepych jeden wynosi się nad drugim, żaden przecież nad wspomniane równiny nie waży się podnieść wierzchołka swojego. Ogromne buki, potężne dęby jak mur okrążają dół góry, a za nimi zdają się łączyć ze sobą przepaści wód z przepaściami niebios.

Ta niewinna ziemia była istotnie miejscem samych rozkoszy.

Z daleka samo spojrzenie na tę ziemię w zachwycenie porywało; ogromna bryła zdawała się unosić na samych wodach pośrodku dwóch niezmierności. Z bliska zaś każda na niej rzecz, każde jestestwo i każdego jestestwa coraz inna własność nierównie większe jeszcze zdumienie sprawiała.

Było to miejsce samych dziwów, rozkoszy i życia. Posępność, czarny kłopot ani to nasiono życia najwięcej mszcząca zgryzota tam nie powstały nigdy. Wesołość, wszystkiego obfitość, wszędzie spokojność, a przecież wszędzie odmiana tej pierwszej ziemi udziałem były. Co krok to nowe widoki, nowe uciechy, nowe dziwy i nowe rozkosze. Tu ukazują się śliczne gaiki. Z nich każdy jakimś skrytym, a każdy sobie właściwym do siebie zachęca powabem. Tam zieloną murawą okryte wznoszą się pagórki. Z każdego w górę wysoko tryska woda. Ta w powietrzu, przybierając się w różne tęcze i kształty, zdobiąc się różnym blaskiem i kolorem, gdy na ziemię spadnie, znowu dzieli się na różne strumienie i strumyki.

Zgoła wszystko na tej ziemi bawić, cieszyć i dziwić, coraz nowym uczuciem zmysły zachwycać, coraz pod inną postacią im się ukazywać miało własność. Nic zaś dać się poznać nie mogło. Skutki nieskończone. Przyczyna ukryta.

Czasem wystawia się w oczach jakaś mgła, niby to z daleka ciemny obłok dotyka ziemi. Ten wkrótce zmienia się w las gęsty, którego drzewa u góry i u dołu ze sobą zrosłe, nieprzedarte miejsce ukazując, przystępu tam bronią. Jeżeli tą trudnością nieustraszony zbliży się, natychmiast owe drzewa rozstępują się, czynią między sobą miejsce próżne i wolne, wchodzącemu ukazują daleki, coraz większy i coraz jaśniejszy widok, w górze zaś gałąź z gałęzią przeplatając, rozciągają wygięty obłok. Gdzieś tam światło przebija, wszędzie zaś na rękę wysoko z wszystkich gatunków precudne wiszą owoce. Ich piękność porywa za sobą oczy, ich zapach, słodczą płynące soki zasilają życie, gdy w tym samym czasie wesolego ptactwa rozkoszne śpiewy unoszą przytomność i umysł.

W tym tak miłym zachwyceniu niespodzianie, nagle ujrzy się pośrodku najpiękniejszych błoni. A tam płąsa wokoło zwierząt pełno. Wszystkie to wesole, spokojne, niebojaźliwe, łaskawe, samo do ręki biegnie niecierpliwie. Mając wszystkiego dostatek żadne drugiego nie nienawidzi ani nie pożera. Owszem, bawią się, gonią, skaczą, przewala się słabe jagnię ze srogim wilkiem. Często nawet tygrys ze lwem igra i liże się.

Tym widokiem gdy się jeszcze nie nasycą oczy, już znowu nowe zachwyci je czucie. Słysząc szum, wzmaga się szelest. Naraz pokazuje się śliczna dolina. W górze tryska wysoko obfite źródło. Wody po spadzistości rozlewając się, szeroko rzucają blask równy jak samo niebios światło. Dopokąd pędzą po wzgórzu warczą, huczą, szumią, skoro zbiegną w dolinę, tylko mruczą, szeleszczą, cichną wreszcie. Z daleka widać diamentami, szmaragdami i topazami wyłożone ich koryto. Z bliska niknie to wszystko, niepojętsze jeszcze dziwi cudo. Zamiast drogiego kamienia dno, po którym płynie ta woda, nowym jest światem: doliny, równiny, wzgórki, pagórki piękniejsze jeszcze w tej wodzie niżeli na ziemi — z daleka rozkoszniejsze gaiki i laski ukazują. Między nimi skaczą wielorakich zwierząt stada, a od jednego do drugiego przelatuje ptactwa gromada. Potężne góry. ogromne skały gubią swoje wierzchołki w obłokach, niebo w lej wodzie inne, widać w niej drugie słońce.

Oto rozkosze, które znajdowały się na pierwszej ziemi. Tych używać wolno równie wszystkim było. Własność ani nieszczęsny jej plód: łakomstwo, pycha i wojna tam miejsca nie miały. Na niewinnej ziemi śmierć znana nie była. Wszystko było życiem. Wszystko tylko do mnożenia życia dążyło. Pracować potrzeby nie było. Złej chęci nikt powziąć nie mógł. Cokolwiek zapragnął, wszystko natychmiast znajdował. Każde żądanie zaraz było zaspokojone, każde pomyślenie odbierało swój skutek.

Takim było zapewne owo święte miejsce w raju, gdzie żyli pierwsi nasi rodzice, zanim jeszcze odważyli się naruszyć drzewo wiadomości dobrego i złego. Albo też taką szczęśliwość, taką rozkosz owi w Eleysie, w Paphos albo w Ephesie oszczerczy kapłani mieścili na tych Elizejskich Polach, które dawali tym, co najbogatsze na drewniane posągi składali w ich ręce ofiary.

Na takiej ziemi, gdzie same tylko pokazują się skutki, a ukrywa się przyczyna, stworzony był człowiek. Oto moment kiedy wszechmocność tchnie w niego życie. Zmysły pierwszy raz odbierają czucie. Pierwszy raz rozwiera oczy i z całą swoją ogromnością ukazuje się mu niezmierność. Ziemia, morze i niebiosa uderzają go w oczy. On zewnątrz siebie nic nie widzi, tylko jakieś dziwne a miłe zjawiają i przemieniają się w nim czucia. Bliskość, odległość, niskość i wielkość wcale nie podlegają zmysłom. Wszystko ukazuje się równe, wszystko ciągle połączone, wszystko zdaje się czymś jednym. Otoczony naokoło jestestwami przecież ani zwątpi, aby cokolwiek istniało.

W takowym pierwszym poruszeniu zmysłów jedna ręka spotyka drugą. Zdumienie jeszcze większe, czucia od wszystkich poprzednich dziwniejsze, przyjemniejsze i trwalsze.

Człowiek pierwszy raz siebie poznał. Z tym większą ciekawością dotyka wszystkich swoich części, dotyka się po całym ciele, dotyka się często, dotyka długo. Wszędzie czucie za czuciem odbierając coraz pewniej czuje siebie, coraz wyraźniej upewnia się o sobie. Jego wyobrażenie nabiera stałości. Światło, niebios ogrom, ziemi zieloność i kryształowa wód powierzchnia, mniema, że to wszystko jest częścią jego.

Za każdą w powietrzu, niebie lub ziemi odmianą jemu zdaje się, iż to on się odmienia. Według różnego zewnętrznych rzeczy z nim stosunku różnych w sobie skutków doznając, zawsze inne, a coraz dziwniejsze ma istnienie: wesołe i smutne, przyjemne i przykre.

Podług różnego widoku raz zdaje mu się, że jest piękną płaszczyzną, którą najprzyjemniejsza a wszędzie jednaka okrywa zieloność. Drugi raz czuje się być jakąś przykrą, oschłą, więcej przeraził niżeli przymilenia mającą skałą. Im smutniejsze to istnienie, tym prędzej zamienia się w śliczny pagórek. Na jego wierzchołku stoi potężne drzewo; dół ozdabiają rozmaite kwiaty. Te w pierwszym mnóstwie jeszcze rozróżnić nie umiemy podług większej liczności i większych wrażeń ukazują się, jak gdyby okrążały ów pagórek wielorakimi pasami. Raz czerwonym, potem fioletowym, dalej żółtym, wreszcie wszystkie kolory równie zmieszawszy wije się wkoło pas biały.

Jeżeli mu wpadnie w oczy jakieś miejsce cieniem pokryte lub odległy bór czarny, w niedostatku światłości, gdy żadne poruszenie zmysłu nie schwyli, on się czuć przestaje, zdawać mu się będzie, że ginie. Strach go obejmie.

Poniewolnie wzniesie oczy. Zbytek światła równy na nim czyni skutek, co niedostatek jego. Zmysły nic wystawić nie mogą. Niespokojny, zdaje mu się jeszcze, że się gubi. Naraz znajduje się w obłoku niebieskim, po którym najwyższe przemijają kolory i cienie, a wkoło okrąża go strefa siarczysta, z której biją promienie gęsto. Wtem uderza blask słońca.

Nagle połowę istnienia traci. Lecz natomiast rozkoszna napełnia go wonność, rozmaity dookoła rozchodzi się dźwięk: wesołe ptactwa śpiewanie, przyjemny

wyniosłych drzew szelest i miłe biegnących wód mruczenie zajmuje słuch jego. Dziwi się, cieszy i podoba się sobie w tym istnieniu nowym. Wkrótce odmienia się w jakowyś okropny szum, ścisza go przeraźliwe zimno. Zdaje mu się, że czuje, jak zmniejsza się, ginie i niknie. W takowym pomieszaniu otwiera oczy.

A w tym samym czasie słońce spod chmur wychodząc rzuca dobroczynny swój promień, rozgrzewa go. On z uczuciem światła już znowu czuje, jak istność jego zwiększa się i wzmacnia.

Tę radość trudno wyrazić, z jaką znajduje swoje przeszłe istnienia; powtarza je, odmienia, gubi i wznawia. Z doświadczenia poznaje, że są dwojakie: przyjemne i przykre, dobre i złe. Pierwszych pragnie i szuka, drugich boi się i chroni. Czarność i ciemność zostawiają w nim jakąś okropną odrazę. Światło i jasność nazywa swoją istnością najmilszą.

A ponieważ dotąd tylko jego węch, słuch i wzrok poruszany bywał, on nic zewnątrz siebie i oprócz siebie nie zna, wszystko sobą nazywa. W pośrodku niezliczonych jestestw przecież nic nie czuje, nie słyszy i nie widzi, tylko siebie jednego. Tak po dziś dzień człowiek w pośrodku światów bez liczby rzucony na tę ziemię, którą, w porównaniu do nich żdźbłem nazwać można, widzi przecież tylko tę jedną ziemię, nazywa ją więc całym światem, a gwiazdy i niebo tego świata częścią mieni.

Pierwszy człowiek był bez świadomości stworzony. Z przyrodzenia nic nie znając, był obojętny na wszystko. Poznawanie uczyni go złym albo dobrym.

Bez zmysłów nie ma życia. Bez życia są z innym stworzeniem związki, ale tych znać nie można. [...]

Epoka piąta

Pierwszy człowiek był stworzony bez wszelkiej świadomości. Nie wiedział ani skąd jest, ani gdzie jest, ani kim jest, ani co się z nim stanie.

Przecież razem z życiem odebrał dla zachowania jego potrzeby, ale i tych nie znał. One w niezliczonym otaczających go rzeczy stosunku ukryte byty. Dla ich docieczenia dano mu zmysły. Ale te omyliły go razy tysiąc, zanim mu odkryły raz jeden prawdziwy z nim rzeczy stosunek.

Dla lepszego rzeczy wyrazu niechaj nam tu człowiek sam opowie swoje przypadki i swoje błędy.

Gdy pierwszy raz otworzyłem me oczy, zielona i w różne kwiaty przybrana ziemi powierzchnia, kryształowa i wielorakimi barwami odmienna, a światem jednym oświecona niebios przestrzeń. Zwierzęta, drzewa, góry, zenit i niebo - wszystko zdawało się być rnouni czuciami, składać istność moją. Długo dziwiłem się bez pojęcia piękności, ogromności jestestwa mojego.

Wewnętrzne czucie jakiejś potrzeby czyniły mnie niespokojnym. Ruszyłem się. Nagle odmieniła się cała istność moja. Zdziwiło mnie bardzo. Uczyniłem drugi

krok i znowu drugi raz pomieszał się wszystkiego porządek, ujrzałem wcale inny kształt. Pod moimi nogami, podobnie jak nad moją głową, widziałem piaszczystą rozległość, a w niej moją istotność podwójną. Z jednego zdumienia wpadając w drugie, a coraz większą ciekawością zdjęty poznania się lepiej i jak najprędzej, uczyniłem kilka kroków spieszniej. Nagle uderzyło mnie coś z wielką boleścią w głowę. Cofnąłem się wstecz przelęknięty niezmiernie. Straciłem na moment zmysłów czułość, a z nimi całą istotność. Przyszedłszy do siebie pomyślałem, że nie sam istnieję, że jest jakaś niewidzialna, ode mnie różna, nade mnie większa, możniejsza, mnie szkodzić mogąca istotność. Drżałem cały. Długo nie śmiałem się ruszyć.

Już znowu jakimś wewnętrznym potrzeby czuciem budzony z wielką bojaźnią podniosłem się. Dla doświadczenia, czyli nie straciłem części jakiej, dotykałem się cały. Dalej jeszcze z większą bojaźnią wyciągałem ręce, czyli nie masz blisko mnie tej szkodliwej istotności. Coś dotknęło się mych rąk. Wzdrygnąłem się. Nagle spuściłem i znowu podniosłem me ręce. Dotykałem różnie i długo, a nie odbierając czucia poznałem, że to jest rzecz ode mnie różna, że omyliły mnie oczy, że są istotności ode mnie zewnętrzne. Było to drzewo.

Tu zaleciały mnie pierwszy raz przyjemne wonności. Naraz uczułem, iż objąłem ręką jedną jakąś całą istotność obcą. Zbliżyłem owoc do oczu. Przypatrywałem się piękności, kształtowi i barwie owocu. Przyjemna jego wonność zniewoliła mnie, iż przybliżyłem ją bardziej, bawiąc się przy długim oddechu rozkosznym zapachem. Uczułem się napełniony wonnością. Otworzyłem usta, by wypuścić dawną, otworzyłem je drugi raz, aby zasycić się świeżą. Skosztowałem. Ach, jakie uczucie! Wszystko przedtem omamieniem było, to prawdziwym mojej istotności zasiłkiem. Dotychczas nie znałem, tylko ulubienic. Smak odbył mi rozkosz. Za każdym skosztowaniem czułem, jak moja odnawiała się istotność.

Wtedy pierwszy raz zaspokoilem pierwszą z mych potrzeb i być spokojny zacząłem. Nikła mego umysłu posępność, miałem mniej bojaźni, radował się duch mój. Stawałem się rzeświejszy, weselszy i odważny. Miło było mi wyciągać raz drugi, trzeci i czwarty rękę do drzewa, którego długo potem istotność dobroczynną znając, czciłem. Codziennie z uszanowaniem odwiedzałem je i z uszanowaniem odchodziłem od niego.

Po tych doświadczeniach utwierdziłem się coraz bardziej, że nie jestem sam jeden, że znajduję się wśród różnych istotności, że z tych jedne są dobre, drugie złe, że stykają się ze mną w różnej odległości, że nie wszystkie są widzialne, że mnie zmysły myślą, tylko czuciu rąk wierzyć mogę. Jakoż odtąd do wszystkiego wyciągałem ręce moje, wszystko chciałem dotknąć.

Niespodzianie zaczęło ginać światło, która widziałem nad głową. Wyciągałem do niego rękę, lecz próżne me usiłowania były, a ono zupełnie zgasło. Nikły natychmiast wokoło mnie wszystkie istotności. Szerząca się coraz bardziej okropna ciemność jako w przepaści pograżała wszystko. Zacząłem i ja tracić czułość mych zmysłów. Nic nie widziałem. Strach mnie ogarnął. Bałem się, czy nie obraziłem

ruszeniem owocu jakiejś szkodliwej istności. Dotykałem się po całym ciele, czyli już nie ginie z moich części która.

Wtem liści szelesty, wód mruczenie, a z nimi razem zgodne ptasząt śpiewania zbudziły we mnie nową czułość. Słuchałem pilnie, słuchałem długo i znowu здавало mi się, iż te miłe dźwięki mną były. Wkrótce z uciszeniem się wszystkiego zmniejszała się i czułość moja. Najprzód ociążałość nóg chyliła ku ziemi kolana. Siadłem. Zamknęły się oczy, już mi dawno niepotrzebne. Nie mając siły utrzymać głowy, pochyliła się ona ku ziemi, szukając na murawie wsparcia. Wszystko ustało. Wszystko znikło. I moich myśli wątek zerwał się. Straciłem nawet czucie życia.

Nie wiem, jak długo mój sen trwał. Ale niezmiernie przestraszony tym doczesnym zniszczeniem moim, zacząłem się po całym dotykać ciele, czy jakiejś nie straciłem części. Wtem na podbliskiej górze ukazała się jasność. Wkrótce z wielką wspinałością ogromniejsze niż było przedtem wstawało światło, a z nim nikła ciemności przepaść i raptem po całej ziemi jakoby z niczego powstawało dawniejsze rzeczy jestestwo. Zdumiony tą mocą spojrziałem na tę światłość, ale tkliwie porażony spuściłem czym prędzej oczy i już więcej nie śmiałem ich podnieść, tylko nazywałem w pokoju ducha to światło istnością najwyższą, która mi powraca życie, która z niczego wyprowadza wszystko, która zasila, wznawia, odżywia wszystkie istności. Za pierwsze bóstwo słońce ucziłem.

Przytomnością jego orzeźwiony zewnętrznie uczułem znowu ów niepokój wewnętrzny. Pamiętny dobroczynności owego drzewa wstałem, szukając potrzebnego moim potrzebom posiłku. Jakie nowe zadziwienie! Zastałem pod owym drzewem wiele pierwszy raz widzianych stworzeń, które, choć ja spokojnie stałem, przechadzały się z jednego miejsca na drugie. Nie wierząc mym oczom, dotknąłem ich ręką. Lecz od jednych ukąszony, od drugich boleśnie uderzony, odskoczyłem na stronę.

Znowu pomieszało mi się wszystko, znowu nie pojmowałem siebie. Już nie wiedziałem, komu wierzyć. Bojaźń miałem, że i ręce mnie zdradziły.

[za: S. Staszic, *Ród ludzi*, Wydawnictwo WGP, Warszawa 2003, s. 8-10, 217-218]